Mój mąż, Isaac Bashevis Singer

(CIĄG DALSZY ZE STR. 5)

nie może też żyć bez niej. Czy powinien popełnić samobójstwo? Siadam i próbuję rozwiązać ten problem. Jeśli się uda, jestem zadowolony; jeśli się nie uda, próbuję następnego dnia.

Używam żydowskiej maszyny do pisania, którą kupiłem zaraz po przyjeździe do Ameryki. Jest bardzo kapryśna i bardzo krytyczna. Jeżeli nie podoba się jej opowiadanie, które piszę, po prostu odmawia współpracy. Jakby mówiła: nie mam obowiązku pisać takich bredni. Nie oddaje jej do naprawy, czekam aż znowu zawrze ze mną pokój. Maszyna ma ponad 40 lat. Rozumiem, że ma też literackie doświadczenie i swój własny smak.

Pisał do południa, a potem wychodził na obiad; nigdy nie widziałam człowieka, który miałby tyle spotkań w porze obiadu. Po południu jeszcze trochę pisał, czytał, spacerował. Lubił spacerować. Karmił gołębie w Central Parku. Szedł do żydowskiej gazety „*Forwards*", albo... nie wiem, naprawdę całe dnie nie było mnie w domu. Spotykaliśmy się wieczorem. To może nie wyglądać jak dobre życie, ale dla mnie to było dobre życie. Niczego mi nie brakowało. A on najbardziej lubił być w swoim pokoju i pisać. Pisanie było jego światem. Nie mógł robić nic innego. Jestem pewna, że gdyby się powtórnie urodził, robiłby dokładnie to samo. Nie mam żadnych wątpliwości. Dawne temu, kiedy wybuchła wojna, była taka możliwość, że zostanie powołany. Starałam się wówczas, by podjął jakąś pracę, żeby tego uniknąć. Zapłacił za kurs, nie pamiętam dokładnie o co chodziło , zdaje się, że o składanie jakichś elementów, ale po dwóch lekcjach wrócił do domu i powiedział, że nie może sobie z tym poradzić. Mógł obsługiwać windę albo być pisarzem, nie potrafię być nikim innym, powiedział.

Żył jakby do środka. Na zewnątrz był bardzo pasywny, nigdy nie umiał zabiegać o swoje interesy, nigdy o nie nikogo nie prosił, o przysługę, o protekcję, o względy. Tylko jeżeli ludzie sami do niego przychodzili, mówił tak lub nie. Taką miał naturę.

Stale pisał. Miał wówczas kontrakt z Alfredem Knopfem na tłumaczenie na angielski swojej pierwszej powieści „Rodzina Moskat". Tłumaczenie zajęło pięć lat i kiedy rzecz została ukończona, Knopf nie opublikował jej. Isaac był zły, przyrzekł, że nigdy więcej nie da nic do Knopfa. I nie dał. Był rok 1950. Cecily Hemley zajął się publikacją kolejnych jego książek w małym wydawnictwie Noonday Press. Cenił i podziwiał prace Isaaca. Dawał na uniwersytetach wykłady na temat jego twórczości. Wierzył w niego i rzeczywiście sprawił, że zaczęto się nim interesować.

W końcu Noonday Press zbankrutowało, a wykupił je Farrar i Straus. Mieliśmy szczęście Cecil Hemley został głównym redaktorem poważnego wydawnictwa, które odtąd drukowało książki mego męża. Z okazji przejęcia firmy Roger Straus wydał obiad i pamiętam, że Isaac wróciwszy do domu, powiedział: teraz wszystko będzie łatwiejsze. I tak rzeczywiście było. „Sztukmistrz z Lublina, „Krótki piątek", „Spinoza z Ulicy Rynkowej", „Przyjaciel Kafki" ukazywały się w tym wydawnictwie i coraz częściej widziałam książki Isaaca w księgarniach. Zaczynał być znany, więc i krytykowany. Ale długa droga dzieliła go ciągle od sławy.

Zarzuca mi się, że zdradzam pamięć własnego narodu. Nie sądzę, żebym zrobił Żydom jakąś krzywdę. Opisuję wprawdzie żydowskich złodziei i prostytutki, lecz piszę również o światobliwych rabinach i uczciwych studentach. Ale jeśli chcę napisać o złodzieju, czy mam pisać o hiszpańskim złodzieju, albo chińskim? Oczywiście, że muszę pisać o żydowskim złodzieju. Żaden normalny czytelnik nie pomyśli, że to znaczy, że każdy Żyd jest złodziejem. A jeśli pomyśli, nie dbam o takiego czytelnika. Dostojewskiego też pytano, czy każdy Rosjanin jest mordercą, a Maupassanta, czy nie ma wcale uczciwych kobiet we Francji. To jest rodzaj pytań, jakie zadaje się każdemu pisarzowi. Rzeczywiście w moich opowiadaniach tylko jeden krok dzieli synagogę od seksu. Wiem, że życie nie składa się jedynie z seksu, ale ja lubię pisać o seksie, jak Dostojewski lubił pisać o morderstwie. Nie widzę powodów dla których miałbym tego nie robić. Kobieta i mężczyzna to temat niewyczerpany. Obok religii — najważniejszy. A jeśli ktoś zapyta, czy to pomaga w interesach, tak, muszę przyznać, że pomaga.

Nie mam, nigdy nie miałam zmiennych nastrojów. Inaczej niż Isaac, kapryśny, ciągle góra i dół. Czasami był taki zadowolony, taki zadowolony ze wszystkiego, co zrobiłam i taki szczęśliwy. Byłam najwspanialszą żoną na świecie, wszystko było cudowne. Za pięć minut potrafił być przykry i bardzo krytyczny. Taką miał naturę. Trzeba było nauczyć się jej. I zaakceptować.

Nie byłam samotna. Gdy był w złym nastroju, wkładam kapelusz i wychodziłam z domu. Kiedy wracałam, wszystko znowu było dobrze.

Na początku to narzekałam. Isaac miał wspaniałą redaktorkę w „*New Yorkerze*". Zwierzyłam się jej kiedyś z jego zmiennych nastrojów, a ona powiedziała mi wówczas coś, co mnie przekonało. Mam do czynienia z wieloma pisarzami i żaden z nich nie jest tak utalentowany jak Isaac, a wszyscy są równie nieznośni. Bądź szczęśliwa, on przynajmniej ma niezwykły talent. Zrozumiałam, i przestałam się skarżyć.

Artysta jest symbolem ludzkiej wolności. Tworzenie jest jej istotą, szukaniem prawdy w szczególny sposób. Bezustannie podejmuję próby rozwikłania zagadki ludzkiego istnienia, przeniknięcia jego sprzecznych uczuć.

Pisał wszędzie i bez trudności. W samochodzie, w przerwach między wykładami, w samolocie, w hotelowych pokojach. Na skrawkach papieru, w notesach. Miał tony notatek, z których często wcale potem nie korzystał. Wydaje mi się, że nigdy nie wątpił w siebie. Byliśmy przez wiele lat bardzo, bardzo biedni, i zawsze mówił: Nie martw się, nie martw się, jakoś sobie poradzę. I udało się. Wiedział, że jest dobry. Nie miał problemów z własnym ego.

Zawsze kiedy mamy kłopoty — modlę się. A ponieważ bezustannie mam kłopoty, nie ma dnia, żebym się nie modliła.

Po pewnym czasie zaczęły przychodzić nagrody i wyróżnienia. Z ważniejszych National Book Award w 1970 i 1974 roku. Nie był niedoceniany. Ale zawsze mówił, że prawdziwy pisarz nie pisze dla nagród, ale dlatego, że chce pisać. Isaac nie był zwykłym człowiekiem. Był wspanialszy niż wszyscy inni mężczyźni, jakich znałam. Trudno mi wytłumaczyć, na czym to polegało. Nie mówił wiele, ale kiedy już coś powiedział, to było mądre i ważne. Miał wielką wiedzę filozoficzną, głębokie przemyślenie na temat Boga, sensu, cierpienia, tajemnicy bytu. O tym zawsze chętnie dyskutował, nie był nigdy zmęczony takimi rozmowami. Ale nie znosił codziennych rozmów, nieważnych, o niczym. Był bardzo milczącym człowiekiem. Coraz bardziej milczącym w miarę upływu lat.

Czy lubił ludzi? Powiedziałabym, mniej niż ja; myślę że mógłby się bez nich obejść. Mówił często, że nie potrzebuje ludzi. Że chciałby żyć na wyspie. Miał wielką potrzebę samotności, izolacji. A że ludzie opowiadali mu historie, swoje losy, tak się składało. Siedział w cafeterii i nagle ktoś mówił: słuchaj, mam wspaniałą historię dla ciebie. Dobrze, opowiadaj. Wówczas ją zapisywał. Ale nie uganiał się za tym. Odpowiadał, gdy bywał zagadnięty, ale nigdy nie wdawał się sam w pogawędki z obcymi.

Nie musiał lubić ludzi, żeby pisać o nich ze zrozumieniem. Dużo i ze znawstwem pisze także o jedzeniu, wydawałoby się, że powinien być dobrym kucharzem, ale tak naprawdę nigdy w swoim życiu nie gotował. Prawdopodobnie potrafiłby, lecz nigdy nie miał na to czasu, ani ochoty. Zrobił mi raz czy dwa razy śniadanie, zaraz na początku naszego małżeństwa. Nie najgorzej, ale potem mówił: to twoja rola.

Literatura bez namiętności jest jak chleb bez mąki. Miłość jest najważniejszym tematem w literaturze, także miłość wieku późniejszego. Młodzi są zaledwie początkujący w miłości, dopiero doświadczenie może uczynić nas mistrzami w tej sztuce. Można kochać kobietę i zdradzać ją. Można ją kochać i kłócić się z nią. I nienawidzić jej. Wszystko jest ludzkie.

Wolę jego powieści, niż opowiadania. Większość ludzi mówi, że był mistrzem krótkich form; on sam też tak uważał. Ja najbardziej lubię „Dwór". To wspaniała książka.

Niekoniecznie trzeba być religijnym, żeby napisać powieść. Ale żadne dzieło sztuki nie może powstać bez religijnego punktu odniesienia. Bez wiary w siły wyższe nic znaczącego nie udaje się stworzyć. Mogę się buntować, kłócić z Bogiem, wadzić, ale nie podważam faktu jego istnienia.

Nigdy nie czytałam jego rękopisów, były po żydowsku. Zwykle czytałam jego książki już przetłumaczone i wydrukowane. Raz, kiedy byliśmy w Szwajcarii, dał mi zerknąć na korektę nowej powieści „Szosza". Nie byłam zachwycona. Powiedziałam — to nie brzmi jak Singer. Zwykle chwaliłam go; nie podobała mu się moja reakcja. Od tego czasu nie pozwalał mi czytać niczego. Powiedziałam sobie — nigdy więcej się nie odezwę. Wszyscy pisarze są bardzo wrażliwi, szczególnie mężczyźni.

Stworzyłem literaturę, która jest w połowie autobiografią, a w połowie fikcją. Zacząłem mieszać fikcję, z rzeczywistością do tego stopnia, że po pewnym czasie sam byłem zdezorientowany, co jest rzeczywiście autobiografią, a co fikcją.

Moje przyjemności? Kiedy byłam na wakacjach bawiłam się, chodziłam na plażę, pływałam, spotykałam się z ludźmi. On nie przepadał za tym, chyba że znał tych ludzi wcześniej. Był szczęśliwy jedynie w towarzystwie ludzi pióra.

Muszę przyznać, że nasze życie towarzyskie było bardzo ograniczone. Mieliśmy kilku przyjaciół malarzy, kilku pisarzy, w sumie niewielu. Kiedy chciał, Isaac umiał być duszą towarzystwa. Czarował, opowiadał anegdoty. Był szalenie dowcipny. Pełen ironii, i autoironii. Pamiętam na pewnym przyjęciu, gdy rzucił się głodny na zupę, natychmiast, kiedy mu ją podano, zauważając zdziwione spojrzenia, powiedział: W przyszłym życiu będę świnią. I po pełnej konsternacji ciszy. Inne zwierzęta będą mnie pytały, kim byłem w poprzednim życiu. Powiem im, że byłem pisarzem. A one na to: wszystkie świnie tak twierdzą.

(CIĄG DALSZY NA STR. 7)

GRZEGORZ PRZEBINDA

Dziesięć dni w Moskwie

Na schodkach obok skrzyżowania ulicy *Platnickoj* z nie znaną mi ulicząką siedzi osiemdziesięcioletnia staruszka — sprzedaje dewocjonalia. Ja zaś szukam w tej części Moskwy księgarni *Prawosławnoje Słowo*. Zaułek, o który staruszka opiera się plecami, jakoś się nazywa — ale tablicy z nazwą nie ma. Staruszka wygląda na taką, która całe życie spędziła w tej okolicy pełnej cerkwi i cerkiewek.

— *A eto kakaja ulica?* — pytam po mandelsztamowsku. Mam nadzieję, że to właśnie poszukiwany przeze mnie *Wiszniakowskij Pierieułok*.

— *Nie znaju* — słyszę odpowiedź.

— *Kak nie znajeie* — myślę, że się przesłyszałem.

— *Da, nie znaju* — słyszę powtórnie.

Gdy odchodziłem, usłyszałem krzyk handlarki: *Eto Klimientowskij Pierieułok!* Wtedy pomyślałem jedynie, że mógłbym — idąc ową ulicząką — dojść do remontowanej chyba już dziesięć lat Galerii Tretjakowskiej.

Potem jednak owo drobne wydarzenie nabrało dla mnie wymiaru symbolicznego.

KSIĄŻKI

W Moskwie (i zapewne całej Rosji) ludzie sprawiają wrażenie, że niczego nie wiedzą. *Dieuwszki* w księgarniach na pytanie o każdą książkę odpowiadają nieznienie: nie ma. Książka najczęściej leży dwie półki obok — ale dziewczyna o tym nie wie ani wiedzieć nie chce. Poszukiwacz literatury musi przeto gimnastykować szyję i próbować z odległości półtora metra wyszukać stojącą na półce upragnioną pozycję (dostępu do półek nie ma). Jego sytuacja jest o tyle utrudniona, że nad półkami — zamiast nazwy działu bardzo często widnieje napis: *Ceny dogowornyje*.

W jednym z antykwariatów przedstawiłem młodej sprzedawczyni listę poszukiwanych książek. Natychmiast spostrzegłem, że ona wcale tej listy nie czyta i zaraz odpowie hurtem: *Niczego niet*. Złapałem więc z powrotem kartkę i z nadzieją sam zacząłem odczytywać kolejne tytuły: *Niet, niet, niet* — odpowiadała coraz głośniej i nienawistniej.

W zasadzie bowiem książek sprzedawać się nie opłaca. Ich ceny — w stosunku do żywności i odzieży — są niesłychanie niskie. Przeciętna wynosi 50-100 rubli. Zdarzają się wyjątki. Wydany w aptekarskim, nakładzie broszurę o Wałęsie (*Politiczeskij portret Lecha Walensy*, Moskwa 1992, INION, 400 egz.) kupiłem za 3 ruble, czyli za 150 złotych polskich. Ale w antykwariacie księgarni „Progres" na Zubowskim bulwarze, gdzie sprzedaje się literaturę w obcych językach, 30-tomowy Dostojewski kosztował 30 tys. rubli, a są to półroczne dochody niejednego rosyjskiego buddyrza. Skąd — na miarę przepaści pomiędzy Harlemem i Wall Street — szalona różnica? Niska cena niezłej w sumie broszury o Wałęsie wzięła się stąd, że książka przygotowana została w Rosyjskiej Akademii Nauk, a ekipa autorska wzięła po prostu za to swoje pensje. Instytucji nie stać (zarówno w sensie materialnym jak i psychiczno-organizacyjnym), aby swą książkę zareklamować, spróbować sprzedać za granicę — kolportaż odbywa się w zamkniętym obiegu, a cena książki jest kwestią nieistotną. Dostojewski zaś sprzedawany w „Progresie" ma być kupiony przez *inturystę* — i na to liczy właściciel. Mówiąc właściciel, nie mam na myśli właściciela sklepu, którym jest nadal państwo, lecz właściciela książek. On to bowiem ustala cenę na swą własność, a owa cena może być zupełnie kosmiczna.

Na szczęście jeszcze dla czytających, rynek książki przeżył w latach 1987–1992 wspaniałe pięciolecie — jakiego w sensie edytorskim nigdy nie było i zapewne długo nie będzie. Najpierw wydawano pisarzy wcześniej przeklętych: Solżenicyna, Szałamowa, Grossmana, Maksimowa, Władimowa, powrócił także Nabokow. Czytelnik rosyjski mógł się wreszcie bez obaw zapoznać z Hemingwayem, a także — wydawanym w masowych nakładach — Dumasem. Jedynie Brodski jest słabo obecny na rynku — bierze się to zapewne stąd, że żyjącemu nobliście (lub właścicielowi jego praw) trzeba byłoby wypłacać honoraria lub tantiemy, a tego — przy tak niskim kursie rubla w stosunku do dolara — żadne miejscowe wydawnictwo nie jest w stanie zrobić.

Książka w ogóle cieszy się tu zainteresowaniem. Jest sprzedawana wszędzie: zarówno na ulicy jak i w metrze. Prócz książki wybitnej, wydawanej z doskonałym edytorskim komentarzem i bez błędów, wydaje się literaturę drugo- i trzeciorzędną, ale także fachową z dziedziny ekonomii i nauki języków. Uliczne stoiska zawalone są licznymi teozoficznymi przepowiedniami (w rodzaju „Księgi tajemnej" Bławatskiej), ale także słownikami rosyjsko-angielskimi. Zarówno Bławatska jak i słownik Webstera są kilkakrotnie droższe od wydań rodzimych filozofów.

MOSKWA „KUPIECKA" NA ARBACIE

Bułat Okudżawa powiedział podczas swojej ostatniej wizyty w Polsce wiosną 1992 roku, że Rosja niczego nie produkuje — ludzie zajmują się wyłącznie handlem, a sprzedają przeważnie towary obce. Od niepamiętnych czasów handlowym centrum był *Kitaj-Gorod* (Miasto Środka), przylegający do Placu Czerwonego i Kremla. „Przed Kremlem — pisze historyk Moskwy — na Placu Czerwonym, można było kupić wszystkie potrzebne dla gospodarstwa domowego przedmioty. Było tam też szczególne miejsce, gdzie kobiety sprzedawały przeważnie własne domowe wyroby". (M. Pylajew, *Staroja Moskwa*). W czasach sowieckich Plac Czerwony na tyle zmienił swe oblicze, że do dziś wielu ludzi uważa, że swą nazwę zawdzięcza on rewolucji październikowej...

Współczesną karykaturą *Kitaj-Gorodu* stał się Arbat. Ta droga sercu mieszkańców Moskwy ulica zmieniła się zupełnie za czasów sowieckich. Najpierw zniszczono historyczne domy, aby złudować Prospekt Kalinina. Następnie, na początku lat 80. zatrzymano ruch trolejbusów, by stworzyć coś w rodzaju strefy dla pieszych. Na środku postawiono latarnie w stylu pseudoparyskim. (Jedna z nich niedawno runęła — widziałem, mieszkając właśnie na Arbacie, jak leżała wśród odlamków szkła przez kilka ładnych dni. Ofiar w ludziach nie było.)

Na Arbacie mieszkał kiedyś Bułat Okudżawa. Moja moskiewska gospodyni opowiadała, że wyprowadził się stamtąd rozgoryczony i nie przychodzi nawet w odwiedziny. Mniej więcej bowiem od roku 1987 Arbat stał się deptakiem handlowym. Na początku przypominał nieco krakowską Bramę Floriańską, dokąd przychodzili sfrustrowani artyści, aby coś nieco zarobić, ale także „wyżalić" się artystycznie. Za Jelcyna Arbat został opanowany przez handlarzy-stolikowców, którzy sprzedają *matrioszki* z obliczem Gorbaczowa, wciskają *lak* (malowane szkatułki z drewna), *gżel* (porcelanę użytkową i ozdobną, koniecznie z pieczątką na spodzie: *Hand made in Russia, Gzhel*), czarny kawior oraz butelki podrabianego Napoleona. Ceny owych towarów są dla Rosjan zawrotne — duży *Matrioszka-Gorbaczow* kosztuje 10-15 tys. rubli, podczas gdy przeciętna płaca szacowana jest na 5-6 tys. Klientami są zapewne odwiedzający Arbat z kamerami wideo Europejczycy — jak jedna z owych dam, która, gdy podałem jej zgubiony szal, podziękowała „kupiectwa", który nie należał nigdy do przyzwoitej gildii. O tych handlarzach z dzisiejszego Arbatu (gdzież im do owych gospodyń, które pod murami Kremla targowały własnymi wyrobami...) można by mówić słowami szesnastowiecznego podróżnika włoskiego Barberino, który odwiedził Moskowię i potępiał handlowy-oszustów: *Tingono zibellini ed altre pelli per farle parer più belle*. (Malują gronostaje i inne futra, aby wydawały się piękniejszymi.)

CZYM JEŚĆ KOTLET?

Któż nie zna rosyjskiego przysłowia: *Kurica nie ptica, Polsza nie zagranica?* Gdy jednak dzisiaj Polak odwiedza Moskwę, jest tam traktowany tak, jak w Polsce 15 lat temu traktowano Amerykanów, Niemców i Anglików. Przysłowie straciło aktualność.

Wielu Rosjan, z którymi rozmawiałem, uważa, że plan Balcerowicza się powiódł. Argumentują dwojako:

1. polskie duże miasta swym wyglądem nie odbiegają już tak bardzo od średniej europejskiej,

„Pełno tych dziennikarzy; węszą, jakby tu było coś ciekawego. Ludzie jak ludzie. Nieszczęście ich tu przygnało. Dom Wczasowy »Zygmunt« — to tam prosto i w prawo. Zaraz pani zobaczy taki duży biały budynek z balkonami."

Mijam rzędy zadbanych domów z ogródkami, pod stopami szeleszczą jesienne liście. Otwarta furtka, słychać dziecięce, przekrzykujące się głosy.

Recepcjonistka nie pytając o nic, mówi natychmiast: „Tłumaczka jest zajęta, jedzą teraz obiad." Siadam z boku, wyciągam magnetofon i próbuję zebrać myśli. „Niech pani ich o nic nie pyta, tylu już było tu dziennikarzy. Nie chcą być maltretowani; wiadomo, że są tam myślami, ale to ich rani i prawie zawsze opowiadają przez łzy."

Przyjechali do Polski z najcięższych warunków; mieszkali w piwnicach, gdzie postaniem był karton lub gazeta. Spali w ubraniu; kocy do przykrycia nie mieli. Ci byli zdecydowani na wszystko. Chcieli uciec od zimna i głodu.

W bielskich ośrodkach oczekiwano na dzieci od siedmiu do siedemnastu lat, z dziećmi do 10 lat mogły przyjechać matki, taka była umowa z rządem bośniackim. Przyjechały także maleństwa, niemowlęta. Są też trzy małżeństwa — mąż opiekujący się niewidomą żoną; mężczyzna z drugiego związku opiekuje się z ramienia władz bośniackich całą grupą.

W większości to Muzułmanie, ale są też osoby wyznania prawosławnego i katolicy. Początkowo niektóre kobiety wyznania prawosławnego chciały się izolować od Muzułmanek. Być może ze strachu. Teraz, tutaj, w świetlicy, piją wieczorami wspólnie kawę, tak jakby już zrozumiały, że są skazane na siebie i że nic im nie grozi.

Tłumaczka mówiła prawdę: nie chcą rozmawiać, chowają się w małych, przytulnych pokojach, tak jakby chcieli powrócić do domowej intymności. Długo chodziłam korytarzami, by natknąć się na kogokolwiek. Nie wiem, co sprawiło, że młoda Milana uśmiechnęła się do mnie, choć dostrzegła mój magnetofon. Kilka lat spędziła w dzieciństwie na Słowacji, więc kontakt językowy był ułatwiony.

— Tam ja nigdy nie wrócę — oświadcza spokojnie — Zostawiłam w Bośni męża, tu jest ze mną dwoje dzieci. O mężu nie mam żadnych wiadomości od siedmiu miesięcy. Gdy usłyszałam przez radio, że Polacy organizują transport, zdecydowałam się natychmiast. Chciał z nami jechać dziadek, ale nie wiedzieliśmy, czy przyjmują starców. Zresztą co mogą mu zrobić; do wojska go nie wezmą... Tam już nie ma życia i więcej go nie będzie.

— Ugoda? Jak sobie pani to wyobraża — pożyczać znów sól od sąsiadki, której mąż być może zabił mego męża. To obłęd, z którego nie ma wyjścia. Czy czuję nienawiść? Nie, chyba nie. Zresztą ta wojna to polityka. Politycy zabijają, ale na niej nie giną.

W Polsce jestem pierwszy raz. Podoba mi się... tak zielono i ludzie nieźle żyją. Wie pani, niektórzy nam mówili przed wyjazdem, że tu wokół domu będą druty kolczaste. Wiedziałam, że to bzdura, ale inne kobiety przestały się bać, dopiero jak zobaczyły, że zamiast drutów otaczają nas góry i drzewa.

Nie chcą rozmawiać, ale mniej nieufnie odnoszą się do swojej tłumaczki. „Mnie się nawet zwierzają — mówi pani Maria — włącznie z intymnymi sprawami, jak to kobiety." Teraz czują się bezpiecznie, ale czy można przestać wracać myślami. Los każdej z nich jest splątany, tak jak wojna.

Jest pani z dwójką dzieci, z wnuczkiem. O polskim pociągu dowiedziała się z radia. Nie zdążyła nawet pożegnać się z mężem, który akurat nadszedł. Gdy wychodził z domu, namierzył go snajper. Nawet go nie pochowała, nie było już czasu.

— A tego wysokiego chłopca pani zauważyła? Grał w piłkarzy na korytarzu. Jest tu sam. Uciekł, zostawił rodzinę, brata w obozie. Nie pozbył się tylko jednego wspomnienia, od którego chciał uciec. Obrazu ustaszów wrzucających do kręcącej się betoniarki niemowlęta odebrane matkom.

Najważniejsze, to żeby ich czymś zająć: maluchy posłać do przedszkola, starszym dzieciom zorganizować szkołę. „Od tygodni zabiegają o nauczycieli chorwackiego — opowiada dyrektorka „Zygmunta", Maria Lorek — którzy przyjechali do Jeleniej Góry. Ale wciąż ich nie ma, żeby choć podręczniki przysłali.

Zaraz po przyjeździe grupy, uchodźców odwiedził Aleksander Ali Kozakiewicz z władz Muzułmańskiego Związku Religijnego RP. Nie, nic nie mówił, że okoliczni księża chcą Muzułmanów nawracać. To nieprawda. Przychodzą księża z Bielska do tej garstki chrześcijan, Mszę odprawią i nam pomogą."

Podbiegają zaciekawione dzieci. Te najmniejsze: — wyjaśnia pani dyrektor — przyjęły się najlatwiej, są bardzo ułne. Pracowników PCK, którzy towarzyszyli im od Zebrzydowic, biorą za rękę i prowadzą do swoich pokoi.

Jedno sięga po mój mikrofon i zaczyna nucić coś po chorwacku. Nagle krzyk; chłopiec przerażony ucieka i już go nie zobaczę. Zaszył się gdzieś. Każde z tych dzieci nosi w sobie jakieś wspomnienie-ranę, która nie zabliźni się łatwo.

— Jeśli ja mam dwie kromki chleba, to ja się z panią podzielę. I mnie starczy i temu drugiemu. Takie jest moje zdanie. Trzeba ludziom pomagać, a ci z Jugosławii emerytury mi nie zabierają, choć niektórzy tu w Bielsku tak myślą — mówi do mnie jeden z pasażerów, gdy za oknami autobusu zostawiam duży, biały budynek z balkonami.

ANNA KLUZ

ANNA KLUZ

ZNÓW POŻYCZAĆ SÓL

Uchodźcy z Bośni w Polsce

O co mam ich pytać? Przecież nie można wracać ciągle do tych samych koszmarów, których opisy wypełniają gazety.

„Gdyby pani widziała — przypomniam sobie słowa prezesa PCK Jana Wałacha — te dzieci w Zebrzydowicach — w jakiej były kondycji psychicznej i fizycznej — nie miałaby pani najmniejszych wątpliwości, że nieudzielenie im pomocy to byłoby absolutna dyskwalifikacja." Ale pamiętam też słowa starszej kobiety w autobusie: Wiem, oni mają wojnę, no a ja mam milion sto emerytury i nie mam z czego żyć. Czy mi ktoś pomaga?

Do Bielska miało przyjechać około 800-850 uchodźców z byłej Jugosławii — na taką liczbę przygotowane były dwa ośrodki w Jaworzu, „Zygmunt" i „Smrek". Przyjechało sto siedemdziesiąt jeden osób. Odradzano im, mówiono, że jadą do obozów, takich za drutami; że dzieci zostaną rozdzielone od matek, a chłopców będą zmuszać do katorżniczej pracy. Wielu uwierzyło w te plotki. Ci, którzy wyjechali, dowiedzieli się o organizowanej przez Polskę akcji z radia albo od znajomych.

Uchodźców zbierały bośniackie ciężarówki, w większości przyjechali do Osijeka bez żadnych dokumentów. W polskim pociągu czekali dwa i pół dnia, bo wciąż spodziewano się większej liczby chętnych. Propaganda okazała się jednak silniejsza.

Stołówka w ośrodku zaczyna pustoszeć, wybiegają uśmiechnięte dzieci. Patrzą na mnie, na mój reporterski magnetofon, z zainteresowaniem, ale i z rezerwą. Jestem tu obca i tak się czuję.

— Pani pewno do mnie — mówi tłumaczka języka chorwackiego, Maria Fila.

Wydawnictwo Znak poleca

Norman Davies
BOŻE IGRZYSKO
Historia Polski
tom I i II

lektura dla szkół średnich

nowe wydanie w miękkiej oprawie

cena detaliczna kompletu tylko 97 000 zł

Zamówienia:
SIW ZNAK 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37
tel. 21-97-94, fax 21-98-14